

SĄD, KTÓRY WYZWAŁA

Fakt, że jesteśmy sądzeni przez Boga, stanowi budzącą przerażenie perspektywę. Żaden zły czyn, ani jedna z najmniejszych naszych złych myśli nie ujdzie druzgocącemu spojrzeniu Boga. Świadomość, że z niczym nie uda się nam „przeszwindlować”, jest potężnym środkiem odstrasającym przed każdym grzechem.

Ostatecznie jednak sąd Boży nie jest negatywnym współczynnikiem ludzkiego istnienia, lecz ostatnią pociechą i przede wszystkim wyzwoleniem. Ponieważ Bóg utrzymuje wszystkie rzeczy w istnieniu i sam jest Rzeczywistością, sąd Boży jako sąd ku zbawieniu nie jest niczym innym, jak ostatecznym uwolnieniem człowieka od więzów jego iluzji i od małostkowych, fałszywych opinii jego otoczenia. Chrześcijańska wiara w ten sprawiedliwy, miłujący sąd przemienia wprost sens czasu, w którym istniejemy, udzielając istnieniu pewnego punktu ciężkości i pewnej zawartości, jakich wcześniej nie posiadało.

Rozważmy przez chwilę, jaka byłaby sytuacja człowieka w wypadku, gdyby ci, którzy nie uznają opatrnościowej natury Boga, mieli rację. W takim bowiem przypadku ostatecznie ważne uznanie wartości naszych czynów, ostateczny sens naszego życia — zależałyby od mniemania, jakie inni urobiliby sobie na nasz temat. Jakkolwiek by było, zależnie od tego, czy będą oni nas szanowali, czy nie, będziemy dalej żyć po śmierci lub szybko pograżymy się w ostatecznym zapomnieniu. Nie byłoby to jednak dla zmarłych życiem, ale tylko zatrzymaniem w pamięci czegoś, co przeminęło. Jeżeli znajomość naszych wewnętrznych zamiarów okaże się zbyt mała, jeśli zdania o nas okażą się zazdrosne, nieprzyjazne i małostkowe, to tylko reputacja, którą cieszyliśmy się lub nie, zachowa pewien ślad naszych czynów przed zagładą. Reputacja, którą posiadamy, rozstrzygałaby więc, jak sądzili starożytni, o wszystkim.

Pogląd ten wyđaje człowieka tyranii stwierdzenia: „Ktoś uważa, że...” Nasza przyszłość zmieniałaby się zależnie od kaprysu wraz z „modą” i wraz ze zmiennym mniemaniem, które tłum urabia sobie na nasz temat w teraźniejszości pojmowanej jako ulegającej ciągle zmianom. Jeśliby nawet ktoś był zdolny do tego, aby nie troszczyć się o zdanie innych, tak że w jakiś sposób udałoby mu się uwolnić całkowicie od oceny wszystkich innych na jego temat, to oznaczałoby to straszliwy zanik społecznego wymiaru istnienia; człowiek zostałby „schwytany”, skrępowany

przez swą własną ocenę. Mówię „schwyty”, ponieważ nie ma wyjścia z nienawiści do siebie samego, nie ma samowybawienia (jak to podkreślał zawsze Nietzsche). Człowiek jest uwikłany w sieć swojej częściowej odmowy, a jesteśmy surowymi sędziami samych siebie. Ponieważ sam stałem się najważniejszą opatrnością, muszę więc w tym wypadku sam określić, jakie jest moje miejsce w historii; traci wówczas cały sens to, że Bóg powołuje mnie do pewnej roli, której znaczenie zna On jako Stwórca całej rzeczywistości. Jak dalece jednak rozumiem samego siebie, jak dalece znam pomieszanie moich motywów działania, moje miejsce w sytuacji światowej? Cóż takiego tkwi we mnie, że nie pozwala, by opętały mnie moje najbliższe obawy i pożądania, lecz skłania mnie do rzeczywistego i poważnego uznania pragnień innych i odrębności ich punktu widzenia? Największe niebezpieczeństwo, jakie na nas czyha, polega na uleganiu pokusie, aby pod naciskiem mechanizmów obronnych, które pochodzą z zepsutej strony naszej osoby, naginać swoje doświadczenia rzeczywistości. Urazy przeszłości mogą zniszczyć obietnicę przyszłości. Droga do samounicestwienia przebiega wzdłuż linii pewnego potęgującego się samouwięzienia w sfabrykowanym widzeniu świata, które zbudowane jest na gruncie niezaspokojonych żądz zakorzenionych we wcześniejszym braku miłości. Wszystko, co może uwolnić człowieka z tych chorobliwych, własnych konstrukcji i skontaktować go z rzeczywistością, którą nie będzie mógł manipulować tak, by kierowała się według jego schematów, jest życiowo ważną obroną przed takim samouwięzieniem. To otwiera dosłownie przyszłość na oścież.

Wiedza o tym, że Bóg sądzi, może rozpocząć uwalnianie człowieka wierzącego z grupowej i własnej tyranii. Bóg, który jest czystym istnieniem, sądzi miłując, tzn. Jego sąd — jako wiadoma Jemu samemu rzeczywistość — jest nie tylko sprawiedliwy, ale w Jego osądzaniu chodzi o zbawienie: On zbawia w swym sądzie wszystko, co jest pozytywne i z tego powodu zasługujące na wyniesienie do istniejącej w Nim syntezy tego wszystkiego, co dobrego dokonało stworzenie. Nie pójdzie w zapomnienie nic pozytywnego z tego wszystkiego, co ludzie wytworzyli przez współdziałanie z Jego łaską; jedynie niszczycielskie elementy zostaną oddzielone i dla oczyszczenia posłane w ogień zawsze trwający, który spala wszystko światłem odsłaniającej prawdy.

Negatywny aspekt zdarzenia nie może być z tego powodu zbagatelizowany. Nasza początkowa obawa jest dobrze uzasadniona. Chodzi tu wszak o coś ostatecznego, o cały sens stworzenia, o dokonane przez Boga zbawienie jako skutek Jego stwórczej inicjatywy i naszych współtworzących rozstrzygnięć. Trwałe owoce wspólnoty świętych oczyszczane są z naszych niszczycielskich

buntów. W nauce Jezusa niewiele powodów do przesadnej samopewności dają niepokojące obrazy wyrwania chwastów i wrzucania ich w ogień. Jednocześnie zaś jasno wiemy, czego pragnie Bóg — jedynie tego, aby rozwijać dobro — i znamy miarę, wedle której wydaje On swój surowy wyrok: będziemy sądzeni odpowiednio do tego, co sami uczyniliśmy najmniejszemu z naszych braci. To nazbyt jasne kryterium winniśmy brać pod uwagę nie tylko w życiu, jakie nam jeszcze pozostało, lecz w każdej godzinie tego życia.

Ze swego miejsca po prawicy Ojca Chrystus przyjdzie ponownie, aby sądzić żywych i umarłych. Ponieważ chcemy przeniknąć pełne znaczenie kryterium, wedle którego wydawany jest wyrok, musimy próbować jasno uchwycić związek pomiędzy sądzeniem „żywych i umarłych” a przykazaniem wzajemnej miłości. Sformułowanie wyznania wiary: „żywi i umarli” miało początkowo oczywiście pewien czasowy sens. Wewnątrz ludzkiego porządku stworzonego czasu doświadczane będzie w *sacra historia* pewne następstwo tajemnic: po zmartwychwstaniu zmartwychwstały Chrystus daje uczniom nie tylko dowód zmartwychwstania, lecz także ostatecznie pouczenie. Potem powraca do Ojca i zsyła na nich Ducha Świętego. Zapowiada przy tym, że na końcu czasów przyjdzie w chwale i wówczas w wielkim, powszechnym sądzie osądzi ludzi, którzy będą wtedy żyli, oraz tych wszystkich, którzy już pomarli. Zbierze On więc ostatecznie wszystkie pokolenia w jedną, nieustannie trwającą, żywą wspólnotę.

Jednakże bez potrzeby rozciągania sensu formuły możemy dostrzec w pojęciach „żywi i umarli” dalsze płaszczyzny znaczeniowe. Żywymi są ci, którzy odpowiedzieli na inicjatywę Bożej łaski, otwierając się na potrzeby innych, tak jak Bóg otworzył się na nas w naszej potrzebie. Umarłymi zaś są ci, którzy przez nieodwracalnie trwałą, egzystencjalną decyzję zamknęli się raz na zawsze na miłującą opiekę Boga i odmówili poświęcenia się dla tych, którzy ich najbardziej potrzebowali. Takie drzewo nie wydaje żadnego owocu. Nie pozostaje nic innego, jak tylko ściąć je i wrzucić w ogień. Ponieważ każdy człowiek ma w swym centrum iskrę nieśmiertelności, której nie mogą stłumić całkowicie jego samobójcze próby, nie da się uniknąć wiecznego cierpienia: skoro tylko sąd Boży usunie nietrwale mury jego „wietrznej” budowli, umarły będzie przez całą wieczność widział, co uczynił ze swojego życia i jak zranił innych. Będzie płonął z pragnienia, aby naprawić wszystko, jednakże jego piekło polegać będzie na przejrzeniu, że dla wszystkich jest pewien czas i właściwa godzina, i że on, jak nieroztropne panny, pozwolił tej godzinie raz na zawsze przeminąć.

Kim zaś są żyjący? Apostoł mówi: „Nie ja żyję, lecz Chry-

stus żyje we mnie” Życie, wzrastanie polegające na przyjęciu Ojca, tego podstawowego źródła wszelkiego życia, i wskutek tego otwarcia zezwolenie, aby przeniknęło nas istnienie, którego On chce nam, dzięki naszej współdziałającej służbie innym, użyzyć; — takie przekazywanie życia nie jest tylko upodobnieniem się do Chrystusa, ale jest aktywnością Chrystusa, Logosem jako takim w działaniu. Sąd nad żyjącymi jest zatem tylko ostatecznym objawieniem blasku tego życia, które w nich trwało. Syn powróci ze swego miejsca na tronie Ojca pełen światła, które emanuje z centrum bytu. Oddzieli On niszczycielskie elementy od sprzyjających życiu i pozwoli zajaśnieć całej wspaniałości tego życia. Sąd odbywa się na naszą korzyść; winien on umożliwić nam ostateczny skok w pełnię bytu. Będziemy uwolnieni od każdego rozczarowania, od wszelkich uwikłań we własne, zwodnicze konstrukcje, które są wzniesione jako namiastka i szaniec wobec prawdziwego życia, przed którym tak po dziecinnemu drżeliśmy z obawy, by nie utracić naszej wolności.

Jezus w kategoriycznych słowach wzywa nas, abyśmy nie sądzili. Czyni to z prostej, słusznej przyczyny: czysto ontologicznie już nie jesteśmy do tego zdolni. Sądzenie jest prerogatywą Boga nie tylko dlatego, że jest ono aktem, w którym odsłania się ostateczny sens stworzenia i zawartej w nim konkretnej, stworzonej osoby, ale też dlatego, że — na bazie całkowicie praktycznej — żaden człowiek nie posiada takiej znajomości wysokości i głębokości miejsca, jakie ktoś w konkretnym momencie zajmuje w ramach całości, aby był zdolny dotrzeć do ostatecznej oceny. W pewnym sensie codziennie jesteśmy zmuszani do osądzania. Są jednak wyroki i wyroki. Nasze praktyczne, czasowe i z konieczności pobieżne decyzje chcą wprowadzić coś zakończyć; jeśli jednak w ogóle jesteśmy w kontakcie z rzeczywistością, musimy w całej skromności być gotowi na powrót do najtrwalszych decyzji, na przyjęcie na nowo każdego przypadku, a w razie potrzeby na zapomnienie tego, co minęło, i w ten sposób na ponowne otwieranie przyszłości. Chrześcijanin zastanawia się nad tym, jak być wspaniałomyślniejszym, coraz bardziej otwartym w swoich ocenach, a przede wszystkim myśli o tym, aby nie potępiać. Dostrzeżenie w kimś innym na przykład powodu do pokusy może być mądrą reakcją, nie wymaga jednak od nas ograniczania wolności drugiego przez wydawanie wyroku, że on „już się przecież nie zmieni”, albo że jego życie z gruntu jest złe. Nie znamy przecież jego głębi i nie wiemy, jakie plany ma Bóg wobec każdego człowieka.

Bytowanie pod rządami Opatrzności, która sądzi sprawiedliwie i miłująco, przenosi chrześcijanina w pewien egzystencjalny czas, który z zasady odróżnia się od zakończonej przeszłości kogoś, kto

ma uraz, oraz od ciągle zmieniającej się przyszłości chwiejności i wyniosłego samozbawienia obdarzonego wolą człowieka. Świadomość tego, że kiedyś wszystko zostanie zbawione, że nic z tego, co jest — chociażby nawet tylko z intencji — dobre, nie pójdzie w zapomnienie, i że to, co zepsute, zostanie odrzucone, daje chrześcijaninowi, jako wielką łaskę, jedyną do zniesienia przyszłość: przyszłość nadziei.

Przyszłość ta jest ześrodkowana, kieruje się bowiem ku Bogu, uosobieniu wszelkiego dobra. W tej mierze, w jakiej umożliwimy kierowanie naszymi czynami według Jego Słowa, zdążać one będą do wypełnienia w sądzie ostatecznym. To Słowo jest jasne i rozstrzygające. Bóg pozostaje wierny samemu sobie i w ten sposób nasze postępy, o ile zależy to od wymiarów leżących poza nami, mogą być kontynuowane. Jedynie negatywny element w nas i innych ludziach odwodzi nas od prostej drogi do doskonałości. Każdy czyn, który nas dystansuje od celu, wszystko, co kieruje nas na ubocze, jest elementem, który należy usunąć.

Dobry Sędzia utrzymuje nas ciągle na wytyczonej przez siebie ścieżce; — jest to naleganie, które uzdrowia wszystko, co niewłaściwe w przeszłości, oraz naprawia szkody wyrządzone przez wcześniejsze odstępstwa.

Nie chcemy twierdzić, że przy takiej opiece zbawiającego Boga chodzi o coś łatwego. Bóg wie, że pewne elementy muszą być natychmiast oczyszczone, że pewne uporczywe części psującej się całości należy przełamać, i w tym celu może On stosować twarde środki. Wydaje się, że nie wszystkich powołuje On do równego stopnia doskonałości; ci jednak, których wybrał On na wielkich świętych, mówią o surowym doświadczeniu przez Niego, o okresach, w których nie używa On żadnych duchowych radości, o tym, co św. Teresa z Avila nazywa okresem *sécheresse*, duchowej posuchy. Może On nałożyć ciężkie cierpienia, jednakże, jak mówi nam nasza nadzieja, zawsze w tym samym celu, aby ukazać duszy możliwość pełniejszego zjednoczenia z Najwyższym Dobrem. To zaufanie ojcowskiej miłości Boga pomaga chrześcijaninowi znowu podnosić się na duchu po każdym upadku i zdejmuje z niego obciążające poczucie, że wszystkie jego wysiłki były daremne. Pośród niepowodzeń swoich najukochańszych ziemskich planów chrześcijanin utrzymuje ufność, że Bóg ocali to, co istotne, że coś z naszych najpoważniejszych starań w jakiś sposób może przyczynić się do trwałego budowania Królestwa Bożego. Dla chrześcijanina możliwe jest tylko jedno jedyne, ostatecznie niepowodzenie: utrata nadziei na Bożą Opatrzność. Bardzo mocno liczymy na Jego sąd.

tłum. Zenon Hanas SAC